Nr. 35. We Lwowie dnia 28. Sierpnia 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

2)

„Pan Tadeusz Mickiewicza jako Epos.“

Te wielkie poematy epickie, dzierzgane były dłońmi artystów, którzy sztukę swoją wyssali z macierzystego gruntu. Byli oni samorodni, bo nie naśladowali obcych wzorów, stwarzając owszem wzory dla potomności. Nie mogli ulegać wpływom innych literatur, bo ich nie znali; pracowała przez nich siła zbiorowa narodu, który opanował ziemię rodzinną, zwyciężył przyrodę, ulegając jednocześnie jej wpływom, zagospodarował się materjalnie i duchowo, nabrawszy sił do dalszego dziejowego trudu.

Dla tego w epopejach samorodnych nie występuje tak widocznie energja oraz indywidualność jednego twórcy jak w arcydziełach sztuki z epok późniejszych. Są to wielkie skarby tradycji narodowej, w której jak słusznie powiedział Maurycy Carrière, „myt boski i życie ludzkie, natura i historja kojarzą się z sobą za pomocą siły poetycznego zmyślenia“.

Epopeje literackie nie tworzą tak jednorodnego gatunku, o wyraźnych cechach, albowiem powstały pod działaniem różnorodnych wpływów i warunków. Są pomiędzy nimi dzieła zupełnie odrębne jak np. „Boska Komedja“ Dant'a, wspaniały płód geniuszu, mało zależnego od dawnych wzorów, największy wykwit idealizmu chrześcijańskiego w poezji.

Odrębną grupę stanowią późniejsze epopeje renesansowe włoskie i hiszpańskie „Jerozolima Wyzwolona“, „Luizjada“, pochodzą one w prostej linji od „Eneidy“ Wirgil'ego, który w tej gałęzi rozpoczął sztuczną produkcję literacką, usiłując stworzyć epopeję na wzór Homera, w epoce, gdy znikła już świeżość dawnej tradycji pogańskiej, podważonej przez sceptycyzm filozoficzny.

Osobna nić genealogji literackiej łączy ze sobą epopeje w rodzaju ariostycznym, do których należą: „Don Żuan“ Byrona, a jeszcze bardziej „Beniowski“ Słowackiego[1]).

[1]) Obszerniej rozwinąłem tę kwestję w studjum porównawczem: Byrona „Don Żuan“ i Słowackiego „Beniowski“ Atenum 1889, zeszyty z Kwietnia i Maja.

Wreszcie francuskie epopeje albo ich naśladowania z zeszłego i początku obecnego stulecia, są owocami sztucznej hodowli, jak n p. „Stefan Czarniecki“ Kajetana Koźmiana, nie pozbawiony męskich piękności pogrobowiec naszego pseudo klasycyzmu.

Od czasów Wergilego epicy różnych epok, wychodzili mimochcąc z błędnego założenia. Robili wysiłki aby gatunek poetyczny, który powstaje w pewnych określonych warunkach wskrzesić w innej epoce, której odmienna atmosfera moralna, niesprzyjała już wzrostowi poezji legendowej.

Można za szkłami różę rozkwiecić w jesieni,
Lecz jakże będzie smutna, blada, wysilona...

pięknie powiada Słowacki w „Marji Stuart“. Niektóre epopeje literackie zwłaszcza francuskie, jak i w ogóle płody literatury pseudo-klasycznej mają właśnie taki charakter cieplarniany, kunsztowny. To niby śpiew, lub gra wirtuoza, który zdumiewa mistrzostwem metody i śmiałem pokonaniem największych szkopułów techniki. Tymczasem epopeje samorodne posiadają młodzieńczy niby śpiew artysty, na progu świetnej karjery, czarującego pełnością brzmienia i potęgą zapału.

III.

Jedyną epopeją literacką, w której czuć powiew twórczy młodości ducha, jest nasz „Pan Tadeusz“, posiadający niektóre bardzo wybitne znamiona epopei samorodnej.

Czy jednak „Pan Tadeusz“ jest epopeją?

Tego tytułu odmawia mu tylko p. Biegeleisen w swej monografji, gniewając się na nowszą krytykę, że sztucznie na takie stanowisko wyniosła „cudną litewską powieść“. Tymczasem tak wysoko postawił „Pana Tadeusza“ pierwszy Krasiński, w liście do p. R. Załuskiego pisanym w 1840 r., bijąc czołem przed wielkością tego utworu, „tej epopei, jakiej nie posiada żaden współczesny naród europejski“. Epopeją do-

mową i narodową nazwał „Pana Tadeusza“ Edmund Chojecki, w swej broszurze francuskiej poświęconej w r. 1864 trójcy wielkich naszych poetów. Podobnego zdania jest Piotr Chmielowski w swem dwutomowem dziele o Mickiewiczu, Hugo Zathey w rozprawie i p. Walery Gostomski, w monografji, poświęconej poematowi, nie oponuje przeciw temu także p. Kallenbach, autor najnowszej dwutomowej pracy o życiu i pismach naszego wieszcza, potwierdzają tę opinję także pp. A. Mazanowski i F. Koneczny, autorowie popularnych charakterystyk i biografji Mickiewicza[1]).

Chcąc rzucić kilka promieni nowego światła na tę sprawę, przypomnę przedewszystkiem w jakich warunkach poeta tworzył swoje arcydzieło. Opowiada to szczegółowo Władysław Mickiewicz w tomie II. swej doskonałej bijografji ojca, opierając się głównie na jego korespondencji[2]).

Równie dokładnie rozwija ten przedmiot p. Biegeleisen w pierwszym rozdziale swej monografji mającej głównie wartość analityczną, albowiem autor z wielkim trudem bardzo szczegółowo wydzielił najdrobniejsze cząstki, wyszukał wszystkie cegiełki składające tę poetyczną budowę od podwalin, aż do wierzchołka.

Rozpoczął Mickiewicz pracę nad „Panem Tadeuszem“ w końcu 1832 roku, skończył ją w lutym 1834 r. prowadząc ją wobec przerw i kłopotów, z których najwięcej przyniosła mu choroba przyjaciela Stefana Garczyńskiego i podróż odbyta do Szwajcarji i Marsylji dla osłodzenia ostatnich chwil biednego suchotnika.

Poeta mieszkał wtedy w Paryżu i obracał się w atmosferze, która z wielu względów była dla niego nieznośną. Stolicy Francji nie lubił, a biorąc udział w ruchu emigracyjnym z dobrą wiarą i poczuciem obywatelskiego posłannictwa, gryzł się wadami agitatorów i doktrynerów, którzy wydawali mu się „głupi solennie, krzykliwi i niedołężni“. Ciężkie i gorzkie dla niego były te stosunki wśród nieszczęsnej emigracji, która znalazła się nagle na bruku paryskim w dobie gorączkowej, wśród zamętu pojęć polityczno-społecznych, wykluwania się różnych prądów i teorji reformatorskich.

Wychodźcy nasi wówczas mieli wprawdzie przewodnią ideję, cierpieli dla niej, starali się pracować dla jej wcielenia, mieli poczucie wielkiego posłannictwa, ale oderwani od rodzinnego gruntu z konieczności musieli działać w próżni, marnując swe siły na sejmikowanie, dysputy, obracając się w błędnem kole: „przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów, zapóźnych żalów, potępieńczych swarów“. Opanowała wtedy poetę, jak to sam przyznaje, w wstępie do poematu, wielka tęsknota za utraconą niepowrotnie przeszłością, za krajem lat dziecinnych co:

. . . . . zawsze zostanie
Święty i czysty jak pierwsze kochanie,
Niezaburzony błędów przypomnieniem,
Niepodkopany nadziei złudzeniem,
Ani zmieniony wypadków strumieniem.

Cofnął się wtedy wieszcz w głębie własnych wspomnień i szukał pociechy w pracy twórczej, która koiła mękę i gorycz teraźniejszości, kołysząc myśli stargane i pozwalając skleić harmonię „duszy rozbitej na kawały“. Tęsknota nieokreślona i głęboka odzywała się od wieków w pieśni słowiańskiej, tęsknota za utraconem szczęściem, tęsknota do wymarzonych ideałów jest jednem z głównych uczuć twórczych poezji naszej. Z potrzeby ukojenia tej tęsknoty, wyrosło największe jej arcydzieło: „Pan Tadeusz“.

Historja tworzenia poematu, wyjaśniona bardzo dobrze przez bjografów i krytyków, odsłania nam ciekawą tajemnicę płodności artystycznej. Z nasion rzuconych w zagon, rozwijają się powoli warzywa i zboża, chociażby ogrodnik który grzędy uprawiał, zabrał się potem do innej roboty. Tak samo dzieło tworzenia, rozpoczęte w wewnętrznym warsztacie duszy, rozwija się na mocy przyrodzonej swej siły, chociażby nawet zewnętrzny bieg wypadków popychał twórcę w innym kierunku. Wiem z doświadczenia, że można prowadzić pracę literacką, zapłodnioną przez wrażenia i wpływy dawniejsze, wtedy nawet, gdy stanowi rozdźwięk ze sprawami pochłaniającemi energję umysłu w chwili bieżącej. Praca taka może być ulgą, ochłodą w stanie przewlekłego niesmaku, lub trwałego bólu, gdy nas trapi niepowodzenie, gdy gorycze krzywd i zawodów przepełniają serce. Skoro obudzi się w duszy popęd twórczy, wtedy materjał złożony dawniej, poprzednie wrażenia, myśli i uczucia prawem siły nabytej, pchają dzieło naprzód. Mickiewicz pisząc „Pana Tadeusza“, był w rozmachu „kropił wiersze“, czując „duch poetyczny“ chociaż w jego wnętrzu zaczęły pra-

---

[1]) „Adam Mickiewicz“ zarys bjograficzno-literacki, skreślił Piotr Chmielowski. 2. t. Warszawa 1886, nakład Gebethnera i Wolfa.

„Arcydzieło poezji polskiej A. Mickiewicza Pan Tadeusz“, studjum krytyczne Walerego Gostomskiego. Kraków nakład księgarni spółki wydawniczej 1894.

„Adam Mickiewicz“ przez Józefa Kallenbacha 2 tomy, Kraków 1897. Nakładem spółki wydawniczej.

„Pan Tadeusz Adama Mickiewicza“ studjum estetyczno-literackie, przez dr. Henryka Bigeleisena (Warszawa, nakład Teodora Paprockiego 1894). Wstępu str. LXXXV.

„La Pologne“ et ses trois poetes Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, 1864 Leipzig. F. A. Brockhaus, Londres Trübner et Comp., bez nazwiska autora (str. 24).

„Uwagi nad Panem Tadeuszem Mickiewicza“, przez Zathey'a Hugona. Poznań 1873.

A. Mazanowski. „Charakterystyki literackie pisarzów polskich“. II. Adam Mickiewicz. Nr. 207—209 Biblioteki powszechnej, nakładem Wilhelma Zukerkandla w Złoczowie.

„Życie i zasługi Adama Mickiewicza“, napisał F. Koneczny. Kraków 1898, nakładem „Czytelni Polskiej“.

[2]) „Żywot Adama Mickiewicza“ podług zebranych przez siebie materjałów i własnych wpomnień, opowiedział Władysław Mickiewicz. Tomów 4. Poznań 1892 (patrz tom II. str. 264. i następne.

cować nowe czynniki moralno mistyczne, pod wpływem których, wieszcz nie „pisał“ potem, ale „robił poezję“ niestety bezpłodną. Mickiewicz z prostotą pierwotnego epika traktował z początku swoją „powieść szlachecką“, „poema sielskie“, pisane na wzór „Hermana i Dorothei“ zaznaczając w liście do Odyńca (z d. 8. grudnia 1832 r.), że podoba się ono szlachcie tutejszej. Ale dla genjusza tak na wskroś oryginalnego, ta mieszczańsko idyliczna epopeja, nie mogła być wzorem, tylko potrąceniem twórczego rozpędu.

W czasie roboty rozsadził ramy „powieści szlacheckiej“ ten sam potężny, „patos“ pod wpływem którego wzrosła zasadnicza idea „Dziadów“. Z poematu uczuć osobistych, wyrosły one na dramat miłości pojętej jako potęga uczuć zbiorowych i wielkiego bolu miljonów, które ku niebiosom sięgały protestem wobec niezłomności boskiego rozumu, rządzącego światem.

W „Panu Tadeuszu“, Mickiewicz trzymał się realnego gruntu, nie pragnął jak orzeł bujać po niebie, widząc „przyszłe wypadki“ i następne lata, ale chciał być twórcą ksiąg prostych, jak ludowe piosenki. Faktem jest jednak, że pierwotny pomysł powieści podniósł do wyżyn epickich.

W bardzo przekonywujący sposób wykazał prof. Kallenbach[1]), że poeta wprowadziwszy do powieści, która się rozwijała w obrębie zaścianków i puszcz litewskich, tragiczną historję Jacka Soplicy, otworzył tem samem wrota z zagrody wiejskiej na gościniec wielkich wypadków 1812 roku. Wskrzesił przez to wspomnienie owej chwili, gdy po upadku Rzeczpospolitej myślano, że koła armat napoleońskich wyżłobią nowe koleje historji, że armja wielkiego Korsykanina odrobi chociaż w części katastrofę rozbioru Polski szlacheckiej.

Uciekając od rzeczywistości gorzkiej i gnębiącej, Mickiewicz pogrążył się we wspomnieniach wiosennych, żywo odbitych w jego umyśle chłopięcym.

„O wiosno, kto cię widział wtenczas w naszym kraju,
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju.
O wiosno kto cię widział, jak byłaś kwitnącą
Zbożami i trawami, a ludźmi błyszcząca
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna
Ja dotąd ciebie widzę, piękna maro senna.

Poeta „jedną tylko miał taką wiosnę w życiu“, bo wtedy zaczynał jakby z mgieł zstępować i wcielać się w kształty widome, ów ideał, który później „świecił w obłoku“ wielkim wieszczom naszym i został znowu tylko „piękną marą senną“.

Wbrew znanym słowom Dant'a „nic bardziej nie boli, jak chwile szczęścia wspominać w niedoli“, znalazł Mickiewicz ukojenie w tych wspomnieniach, bo nie szamotał się rozpaczliwie z bólem bez jutra, bo wierzył, że chwile podobne jeszcze nadejdą, bo sam pragnął być ich zwiastunem dla narodu.

Szukając otuchy i pokrzepienia, wskrzesił on tylko pierwsze blaski pochodni, rzucające dokoła świtene iskry złudzeń i nadziei. Zostawił umyślnie w cieniu jej blaski ostatnie ponure i migotliwe, przy których, wśród płaczu tysięcy matek, wśród żałoby miljonów, zatrzasnęły się ze zgrzytem żelazne wrota i zamknęły za sobą całą epokę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Józef Kotarbiński.

[1]) Patrz cytowane wyżej dzieła, tom II., str. 129 i następne.

Matka Boska Zielna na Wiśle.*)

Cesi poświęcam.

W przedziwnie pięknem otoczeniu wznosi się kościołek katolicki na Wiśle. — Wśród gór stoi; okrągłem okiem frontu patrzy w twarz jasno zielonej Bukowej; na lewo — od



Kościół w Wiśle.

zachodu — ma na straży piórami lasu oskrzydloną Czajkę, — z południa Sznura osłania tyl-

*) Pięciotysięczna ludność górskiej wsi Wisły, położonej u źródeł rzeki Wisły, należy w olbrzymiej większości do wyznania ewangielickiego. Szczupła garstka Wiślan katolików nie jest więc w stanie utrzymać swoim kosztem miejscowego proboszcza i w zamkniętym przez cały rok kościele katolickim „na Wiśle“ — jak mówią górale śląscy — nabożeństwo odbywa się jedynie w dni uroczyste, z których najuroczyściej obchodzonym jest dzień 15 sierpnia, — święto Matki Boskiej Zielnej.

nę jego ścianę gotycką kolumnadą świerków, piętrzących się na jej zboczu, a pod wschodniemi oknami ściele się urocza dolina, jasną żyłą młodej Wisełki przerznięta. W przedziwnie pięknem otoczeniu wznosi się kościołek katolicki na Wiśle!

A sam wśród wesołej, bujnej, żywej, natury, — zdaje się spać snem zaklętym, jak legendowi z pobliskiej Czantorji rycerze. Dzwony jego nie grają do wtóru piorunom ani wichrom górskim, nie łączą swego głosu z poszumem lasów, śmiechem potoków; blado martwych ścian nie rozgrzewa modlitwa z żarliwych ust, zachwyconej piersi płynąca. I tylko wówczas, gdy blask księżycowy zaleje góry, a nad Wisłą poczną przesuwać się bez szelestu mgły, — tajemniczy kościołek zdaje się nabierać fantastycznego jakiegoś życia, zdaje się odrywać od ziemi, wydłużać, posuwać, a jego wąski, zaostrzony w wieżyce front majaczeje na tle świerków, jak białe widmo...

Nagle, ni stąd ni zowąd, pewnej sierpniowej niedzieli, »na odwieczerz słonka«, ożył naprawdę — przemówił!.. Głos jego zabrzmiał jakoś dziwnie, jakby się rwał z ust niemego, jakby dźwięki jego tłumiła krepa długiej żałoby ..

Dał hasło, zawołał: »Je — stem!« i ścichł. Ale nie nadługo!

Nazajutrz słońce, wychylając się z poza Kamiennego gronia, ujrzało ruch niezwykłych przygotowań na bezludnym placyku. Potem odezwały się dzwony, zawsze jakby pękniętem sercem przemawiające, a na ich wezwanie na wszystkich drogach i ścieżkach ukazywać się zaczęły postacie ludzkie. Płynął ludek boży z gór i dolin, z dzielnic Wisły, na kilku milowej rozrzuconych przestrzeni, płynął z miast i dalekich wiosek.

W tem czujne echo górskie pochwyciło dalekie dźwięki chóralnego śpiewu. Najpiękniejszą z dolin, doliną Kopydła, burzliwego potoku, wpadającego powyżej do Wisły, ciągnie jakaś k o m p a n j a i śpiewa hymn na cześć Bogarodzicy. Oto już wysuwa się z za potężnych głazów Skalnitego długim, barwnym wężem. Głowę jego tworzy intonujący pieśń »wódca«, pierwsze pierścienie — mężczyźni, ostatnie — kobiety. To pobożna Istebna śpieszy tak licznie, strojnie i okazale aż od węgierskiej, het. granicy. Hoże, wdzięczne góralki stąpają lekko w »miahućkich« kyrpcach, zdają się unosić w powietrzu, jak gołębice, w białych bufiastych swoich kabatkach. W rękach trzymają pęki wonnego ziela, koronki i książki do nabożeństwa. Misternie, w kilkanaście »wojek« zaplecione warkocze dziewcząt zdobią wstążki jaskrawo czerwonej barwy, zwieszające się aż na czarne, krótkie, suto marszczone spodniczki. Mężczyźni, wysokiego wzrostu, smukłej a silnej budowy ciała, podobni — w obcisłych strojach — do starożytnych posągów, nie mają czapek na głowach — jak zwykle przy modlitwie — i łagodny oddech gór czesze im bujne włosy, przystrzyżone nad brwiami, opadające na szyję,

Im bliżej celu, tem dźwięczniej brzmią głosy pątników w przejrzystem powietrzu. Stanęli nareszcie u murów świątyni, opasali ją ruchomem pierścieniem ciał, jęli wchodzić do wnętrza i zamarli na chwilę pod wrażeniem salwy moździerzowej, wspaniałem echem biegnącej po szczytach gór. Czajka pochwyciła pierwsza huk wystrzału i odrzuciła Bukowej, — tamta podała Krzywemu, a pyszna Czantorja poniosła w stronę Piastowej stolicy.

Zaledwie przeciągły grzmot ucichł gdzieś w aksamitach łąk, zabrzmiały dźwięki kapeli, zwiastujące przybycie procesji z Ustronia. Idą już, idą!

Na czele procesji zbożne jakoweś dłonie niosą wysoko na sążnistem berle zawieszony wieniec z róż czerwonych i białych. Znać, że idą z pokłonem do Marji Dziewicy, Królowej Korony Polskiej. Dalej płyną w kryształowem powietrzu czerwone chorągwie: jedna, dwie, jeszcze dwie i znowu jedna — płyną miękko, cicho, nito fale szeroko wylanej krwi. U chorągwi skupia się kapela górnicza, a mosiężne narzędzia muzyczne błyszczą, jakby rój drobnych słońc spadł na lud roboczy, co tak rzadko słońce oglądać może. Od ciemnej odzieży grajków i innych mężczyzn pięknie odbijają stroje kobiet, zamykających pochód, a ubranych »po cieszyńsku«, w ciemno wiśniowe suknie z szafirowem u dołu bramowaniem i aksamitne, złotem i srebrem wyszywane żywotki (gorsety), z poza których błyska śnieżny gors i widać krótkie rękawy kabatka.

Śpiew i muzyka przeplatają się tu wzajemnie. Trąby grają głośno, wyraziście. Słychać w ich mosiężnych wargach okrzyki żywej piersi ludzkiej, słychać prośbę korną, żałośną, a tak rzewną, że chyba nie o sam tylko chleb dla ciała proszącą.

Na spotkanie procesji pośpiesza od kościoła kapłan w białej komży z delikatnej koronki, w birecie. Przed nim stąpa z zapaloną świecą chłopię małe, przybrane czerwono, zdaleka do bożej krówki podobne.

Olbrzymiej ciżby nietylko mury skromnej świątyni, lecz i otoczony sztachetami plac nie obejmie. I wnet pod naciskiem tłumu wyskoczyły z zawias wrota i część pobożnych rozsypała się po Sznurze, malarskie tworząc grupy na stokach góry, pod zielenią nieruchomych, zasłuchanych świerków.

Z mownicy, czerwono i białej przybranej, a wzniesionej pod nieobsiążonem sklepieniem bladego błękitu, przemawia kapłan. Wspaniałą ma świątynię do głoszenia nauki Ukrzyżowanego, nauki, ogarniającej miłością świat..

Nabożeństwo skończone. Ostatnie strzały moździerzowe żegnają odchodzących. Pierwsza Istebna spieszy w domowe progi z pieśnią »Serdeczna Matko«, śpiewaną na nutę »Boże coś Polskę«. Za jej przykładem idą inni. Tłum rozprasza się, uchodzi, jak krew z otwartych żył — a blady kościołek zapada w mrok, ciszę, sen....

M. Wysłouchowa.

Komissja śledcza warszawska z r. 1863.

4) (Wyjątek z pamiętnika.)

Karolkow baszkir, tatar czy kamczadał nie europejskich w każdym razie rysów twarzy, którego po wszystkich wydziałach było pełno z nieodstępnym kindżałem za pasem był zdaje się czemś w rodzaju urzędnika do szczególnych poruczeń. Miał poruczane sobie sprawy i to dosyć drażliwej natury, a o tych, którzy się jemu w ręce dostali śmiało można powiedzieć było, że wyciągnęli jeden z najgorszych losów. Przebiegły, ze spojrzeniem tygrysa, strawiony jak sama powierzchowność okazywała wszelkiemi nadużyciami, przedstawiał typ deprawacji najwstrętniejszej.

Oto i osobistości pryncypalne w tej maszynie. Obok nich na posadach inkwirentów młodszych, którym powierzano badania samodzielne, ale w sprawach mniej ważnych, albo lud prosty, uwijało się kilku rosyjskiego pochodzenia, którzy w audytorjacie chwycili cokolwiek rutyny śledczej, resztę niezbędnego kontenansu czerpiąc w obowiązkowej wściekliźnie i zagwarantowanej nietylko nieodpowiedzialności, ale nawet bezkarności bezwzględnej. Jak taki inkwirent zeznania wydobywał, jak przychodził do tych, które stały spisane w aktach śledczych, czy to były własne słowa osób tam podpisanych, czy tylko improwizowane przez inkwirenta, niezbędne do aktu oskarżenia materjały; o to nikt ze zwierzchności się nie troszczył. Im tego było więcej, tem lepiej. Powołany świadek po większej części mówił co chciano, bo jakkolwiek wielu mogło od przestępstw powstańczych mieć sumienie czyste, to jednak z uwagi że przemawianie na korzyść obwinionego było tem samem co przyznanie się do wspólnictwa, unikał każdy narażenia się na przytrzymanie i albo wprost obwiniał nieszczęśliwego, albo też tak się plątał, że zawsze kończyło się na tem iż zeznanie osób powołanych szkodziło oskarżonym. Żądać od ludzi upierania się przy prawdzie kosztem bezpieczeństwa własnego, spodziewać się odwagi cywilnej, owego kwiatu społeczeństw wolnych, byłoby znaczyło w owym czasie żądać prostej niemożebności. Zła tu była godzina do heroizmu wszelkiego; ci co byli do niego zdolni już nie żyli, albo wlekli mizerną egzystencję skazańców wśród lodów Północy. Jak mówi poeta: Przed strachu szatanem, Zbledną ludzkie serca. Wieku tego Panem..... Dokończ czytelniku sobie, jeśli pamiętasz. Jeśli nie pamiętasz, albo nie wiesz, a może nieuznajesz, tem gorzej dla Ciebie, dla dzieci twoich i dla ogółu na koniec.

Jeżeli nie robiono sobie ambarasu z obwinionemi i świadkami za to formalizowano się do pewnego stopnia wobec sądu wojennego i audytorjatu polowego, jako instancji wyższej. Akta zeszyte, ponumerowane i oparafowane być musiały wedle przepisu i wszystko co tam w nich było miało cechę autentyczności ; o zgodności z prawdą protokołu śledczego wiedział tylko Bóg jeden, mogłyby były wiedzieć i sumienia tych ludzi, gdyby samo pojecie o sprawiedliwości dopuszczało możność zabłąkania się do cytadeli okruchów sumień ludzkich. Ale jak powiadamy w porządku było wszystko, i słowa własne obwinionych i protokuły konfrontacyj naocznych, wszystko, wszystko na podobieństwo Chrystusowej prawdy, przenicowanej przez faryzeuszów.

W początkach przy ulicy Pawiej, czyli na tak zwanym Pawiaku dopuszczano zeznań własnoręcznie spisanych, jakkolwiek i to nie było powszechnem; w cytadeli zarzucono i to, a choć badanie odbywało się po polsku, zeznania spisywał inkwirent w języku rosyjskim. Niektórzy pisali po polsku w razach wyjątkowych. Były nawet podobne protokoły odczytywane przed podaniem do podpisu ; można jednak wystawić sobie co robiono z opowiadaniami ludzi zupełnie ciemnych, którzy albo zgoła nierozumieli się na subtelnościach mowy pisanej, albo do takich sporów z natury rzeczy wagi nieprzywiązywali żadnej.

Do takich manipulacji potrzeba było współpracowników młodszych, którzyby przed niczem się cofnąć i niczego sromać niepotrzebowali, a mieli przytem werwę i gorliwość niezupełnie sytych. Było takich kilku, a mianowicie :

Major Jasiński zdaje się że polak, ale w audytorjacie przedtem urzędujący, człowiek

powierzchowności do funkcji zupełnie zastosowanej. Pierwsze wejrzenie wystarczało do przeświadczenia, że ten ze skrupułami nic wspólnego mieć nie może. Porucznik Aleksandrowicz wzięty z armii czynnej, niemłody, ohydny, mały, z nogami krzywemi na podobieństwo taksa. Postać obmierzła. Porucznik Seemann, syn lekarza wojskowego, także ze służby czynnej, z charakterystycznemi piętnami plemienia żydowskiego do którego należał Nie da się o nim wiele powiedzieć; fakt że był tam już sam z siebie maluje go dostatecznie. Porucznik Zacharew syn woźnego z bióra Zarządu pocztowego w Warszawie, elegancki, gładki przystojny, mimo pochodzenia obcego mówiący po polsku czysto, poprawnie, rozmiłowany w swojej powierzchowności, podstępny, chytry ze wszelkiemi aspiracjami podłości. Szkodliwy był bardzo, bo układnością swoją łatwowierniejszego każdego mógł i umiał na słowa wyciągać. Jeden rys wystarczy do scharakteryzowania go. Była to scena prawdziwie piekielna, którą piszący to miał sposobność z kurytarza podsłuchać i podpatrzeć. Rzecz tak się miała. W jednej ze spraw dosyć skomplikowanych, w której uczestniczyło dwudziestu przeszło obwinionych, uwięziono między innymi człowieka przeszło pięćdziesięcioletniego, którego udział w powstaniu w ogólności był prawie żaden, a nawet zupełnie żaden, który jednak w sprawie o którą chodziło sumienia całkowicie czystego nie miał. Jakkolwiek zostający pod śledztwem był zazwyczaj zamknięty pojedyńczo, aby mu ktoś jeżeli był niedosyć obeznany o najlepszej metodzie zachowania się wobec swego inkwirenta instrukcji nie dawał, trafiały się przecież i wyjątki, że zamykano takich po dwóch, a nawet po trzech razem, tem bardziej, że oddział gospodarczy obstawał za tem, bo się to z pewnemi oszczędnościami na świetle i opale i wielu innych sprawach łączyło. A że w tej maszynie ręka rękę myje, więc komissja, o ile to w jawnej z tokiem śledztwa sprzeczności nie pozostawało, robiła administracji koncesje i pozwalała sadzać więźniów razem, byle tylko rozumie się nie takich, którzy w jedną sprawę implikowani byli.

Tak się też miało i w tym wypadku. Wzmiankowany przez nas R. zamknięty został w celi wspólnej na własne żądanie, w czem dla zyskania sobie jego zaufania skłonny do wszelkich ustępstw na rzecz uwięzionych Zacharew tamy nie stawiał. Dla czego widząc człowieka niemłodego, z więzieniem nieobeznanego, a w dodatku safandułę prawdziwego nie użył względem niego sposobu z wielkiem powodzeniem w cytadeli aplikowanego, aby takiemu niedołędze dać za towarzysza szpiega trudno się domyśleć a to już chyba jedynie dlatego, że gra zdawała się nie być warta świeczki, a dobroduszność obwinionego tak oczewista, iż najprostszymi sposobami obsaczyć go będzie można. Traf jednak wdał się w to i biedny Zacharew miał mieć partję trudniejszą do wygrania niż przewidywał zrazu. Towarzyszem do którego przeprowadzono R. był doświadczony w tego rodzaju walkach szermierz, a wreszcie człowiek zbyt uczciwy, aby mu ocalenie współwięźnia na sercu leżeć nie miało. Miał jednak nie mały trud do przezwycieżenia, bo R. o tej szlachetnej metodzie nasadzania szpiegów wiedział i towarzyszowi zatwardziałą nieufność okazywał.

Tak upłynęło dwa tygodnie, a może więcej. R. codzień, niekiedy dwa razy na dzień chodził do śledztwa, bawił tam po kilka godzin, a że wracał bardzo zmęczony, że się potem przechadzał po pokoju wielkiemi krokami i tarł łysinę zawzięcie, więc nie mógł się »schlafkamrat« niczego innego domyślać, jak że biedaczysko twardy jakiś orzech ma do zgryzienia. Milczał jednak wytrwale i z kłopotem swoim zwierzyć się niechciał widocznie. Praca myśli przerodziła się u niego w jakiś nastrój gorączkowy, żył tylko tem jednem, położenie tam przy śledztwie wikłało się coraz bardziej, a w sposoby i tem mniej fortele wyraźnie nieobfitował. W dodatku przy tych zaostrzających się opałach zaczął R. bredzić nocami i to rozumie się zawsze o tem co go najbardziej niepokoiło. Rozmawiał na dwa głosy i były tam i wszystkie natarczywe namowy inkwirenta i jego blade i niedołężne osłony, któremi chciał parować ciosy przeciwnika w każdym razie dużo od niego zręczniejszego. Naostatek przychodził na stół cały plan obrony, jaki ku ocaleniu swemu biedny niedołęga mozolnie musiał osnuć, bo jak widać był z niego zadowolony.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Lili.

ŻAŁOSNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

(Ciąg dalszy.)

Lili zaczęła szykować do śniadania, Zakrzewski pomagał jej bardzo gorliwie; zapominali, gdzie są i co się z nimi dzieje, a pomimo to — trzymali się już od siebie zdaleka.

Przy śniadaniu siedzieli przy sobie, usługując sobie wzajemnie.

— Co jabym robiła, gdyby pana z nami nie było? — zapytała jakby zdumiona.

— Usługiwałby pani Jańcio! — odparł przekornie i na przeproszenie zaczął całować jej ręce.

— Jańcio! a to zabawne! Jańcio! Gałkowska ról i peruki mniej pilnuje niż jego!

— Kiedy panie wyjeżdżacie na wigilję?

— O szóstej mają przyjść konie po nas.

— Powrót?

— Jutro rano. Wie pan, przyszła mi jedna myśl w tej chwili, że przecież, prędzej czy później, to pan wyjedzie z teatru i powróci do domu...

— Tak, powrócę, nawet prędzej, niż pani przypuszcza.

— Prędzej? — zapytała cicho i, podwinąwszy rękę na stole, położyła na niej głowę i patrzyła w niebo z niepokojem.

— Niezadługo, bo zaraz po benefisie.

— Nie żal panu będzie teatru? — pytała cicho.

— Nie, bez żalu odjadę, ale i bez goryczy.

— I nikogo panu nie będzie żal? nikogo? — dodała ciszej i zaczęła bić powiekami i przysłaniać łzawe oczy.

— Prawie nikogo, bo przecież ci których kocham, pojadą ze mną!

— Pewnie pan zabierze z sobą Olkowskiego, on taki biedny, taki nieszczęśliwy.

— Nie, nie Olkowskiego, ale narzeczoną.

— Pan ma narzeczoną tutaj?.. narzeczoną?

Pobladła nagle, usta zaczęły jej drgać, wcisnęła się głęboko w kanapkę i patrzyła na niego zdumionym wzrokiem, a po twarzy jej, po ustach, po oczach zaczęły przebiegać jakieś drgania, podobne do cieniów; była tak piękna, tak porywająco piękna z tem zdziwieniem, pełnem wielkiej trwogi i bólu powstrzymywanego, z temi ustami rozchylonemi, jakby do krzyku lub do płaczu, że miał szaloną ochotę wziąć ją w ramiona, ale się powstrzymał, ujął ją za rękę i powiedział poważnie:

— Wierzę, iż narzeczoną mieć będę, bo Lili zechce zostać moją żoną, prawda?

— Jakto! ja pańską żoną!

Zerwała się cała w płomieniach.

— Panno Lili, kocha mnie pani troskę? Prawda, że kocha! więc bardzo serjo proszę, abyś zechciała być moją żoną. Wyjedziemy z teatru, zabierzemy mamę i pojedziemy na wieś, do nas. Tak dawno miałem to powiedzieć, tak dawno chciałem, tylko nie byłem pewny, czy mnie pani kocha.. Ale dzisiaj już wiem, że mnie kochasz. Lili! Lili moja jedyna, mój ptaku złoty, nic nie mówisz! Powiedz słówko, jedyna! W twoje ręce składam całe życie.,.

Lili, no... przemów!

Ale Lili nie odpowiadała, patrzyła w niego z przerażeniem; potem twarz zaczęła jej gorzeć, pierś podnosiła się coraz szybciej, twarz się mieniła wszystkiemi tonami uniesienia, miłości, szczęścia; w końcu oczy promieniejące zaczęły mętnić i szklić się, aż wreszcie łzy, jak brylanty, zaczęły toczyć się z pod czarnych rzęs i sypały się coraz gęściej. Pochwyciła z kanapy poduszkę, zakryła nią twarz i wybuchnęła płaczem.

— Lili! dziecko moje drogie, dlaczego płaczesz? Boisz się, mnie, nie kochasz?... przecież widziałaś, że dawno cię kocham, że tylko dla ciebie jestem w teatrze. Mówię ci dzisiaj o wszystkiem, bo czas już skończyć. Lili, powiedz, kochasz mnie? Kochasz mnie ty, płaczko boska, kochasz? — pytał.

Objął ją ramieniem i całował po włosach i twarzy; oderwała się od poduszki, zarzuciła mu ręce na szyję i okrywała twarz namiętnemi pocałunkami a potem się odsunęła nieco i zapadła w głębokie zamyślenie. Spoglądała na niego z czułością i głębokiem rozradowaniem, a łzy radości i szczęścia napełniały jej oczy i niby wielkie jasne perły staczały się po twarzy.

Zaczął nową serję pocałunków, wyznań i pytań, ale nie odzywała się prawie, czuła się onieśmielona. Nie mogła się oswoić z tem, co słyszała, bo nigdy nie myślała o czemś podobnem. Wiedziała, że ją kochał, kochała go również całą wielką pierwszą miłością!.. Ale zostać jego żoną, rzucić teatr, jechać z nim, nie, tego nie mogła sobie pomieścić w głowie, nie mogła w to uwierzyć!

Chwilami się jej wydawało, że to tylko sen taki cudny, który bała się spłoszyć najmniejszym ruchem, powstrzymywała oddech, siedziała z przymkniętemi oczyna długą chwilę, to rozglądała się dokoła i spostrzegała, że jest w mieszkaniu, i że Leon siedzi przy niej, patrzy i mówi o miłości, przytomniała wtedy, rzucała mu się na szyję i wołała:

— Jakiś ty dobry! Jak ja cię strasznie kocham! strasznie! strasznie! I ty naprawdę chcesz się ze mną ożenić? naprawdę?...

— Naprawdę, Lili! — odpowiedział poważnie.

— Przecież ja taka głupia! Nie, to nie może być, abyś mnie kochał, nie... — wołała ze zdumieniem.

— Kocham cię, Lili.

— Jak to ma być! Ja pojadę z tobą do twoich rodziców! My weźmiemy ślub naprawdę? Ubiorą mnie w białą suknię z welonem — mam ślubną suknię z »Życia paryskiego«, tylko trochę trzeba przerobić — w mirtowy wieniec, będzie wesele, pojedziemy do kościoła, organy będą grały! I to wesele będzie naprawdę? i ja naprawdę będę twoją żoną, naprawdę będzie ksiądz, naprawdę będzie wesele, i my naprawdę będziemy potem z sobą, naprawdę?

— Kocham cię, Lili! — odpowiadał niezmiennie, poruszony do głębi jej szczerą naiwnością.

— A potem będzie wielki bal, będziemy tańczyli! I nie będzie potrzeba rozbierać się prędko, pakować garderoby, iść do dyrekcji po pieniądze! Więc to wszystko będzie naprawdę! Mój Boże! mój Boże, już nie rozumiem! Ty chcesz zostać moim mężem, ja mam być twoją żoną, i to wszystko prawda?

Mówiła, jakby w gorączce, nie mogąc uwierzyć, że to nie będzie przedstawienie.

— Prawda! Będziesz moją żoną, rzucimy teatr i zapomnimy o nim prędko.

— Nie będziemy w teatrze, a co ja robić będę?

— Będziesz moją żoną.

— Korczewska ma męża, Szelkowska też, a są w teatrze... Jak to, więc jabym nie grała, nie chodziła na próby, nie uczyła się ról? Ale cóż jabym robiła?

Pytała zdumiona i przestraszona tą pustką, jaką nagle zobaczyła dokoła siebie, odrywając się od teatru, nie znała bowiem innego życia.

— Dzieciaku mój, dzieciaku! — zawołał, uśmiechając się.

— No, dobrze — rzekła, ściągając brwi i myśląc coś głęboko — no, dobrze, a czem jabym była?

(D. c. n.)

5)

ZAJĄC.

POWIEŚĆ

przez

Adolfa Dygasińskiego.

V.

Jan Tetera, z przydomkiem Wielowłos (w Malwiczach mało który szlachcic zagonowy nie miał przydomku), otrzymał po ojcu dobre gospodarstwo i on sam, jako rolnik, odznaczał się niepospolitą zabiegliwością. Chłop wysoki, chudy, wytrzymały, ślepy na jedno oko, z okazałą czupryną, w której włosy siwiały pasmami, a od dołu spłowiały i wyrudziały, jak stara strzecha, wystawiona na słoty i skwary słoneczne. Nosił głowę zawsze spuszczoną i cokolwiek ją przechylał w tę stronę, z której mu brakło oka. Kaszkiet wyszarzany, przyklepany jak talerz na wierzchu głowy, kapota z samych prawie łat złożona, takież spodnie i podarte buty — oto jego ubiór w dni powszednie i święta.

W domu swoim Tetera rzadko kiedy zabierał głos, najczęściej milczał, a jeśli się odzywał, to — nieśmiało, łagodnie, cicho. Zupełnie co innego za domem: przemawiał głośno, butnie, z poczuciem własnej godności, nie pozwalał się nikomu przegadać. Bo w domu był on ostatnią osobą, nikt tu na niego nie zważał. Żona jego, tak zwana Flora, okazała, modrooka blondyna, od pierwszego wejścia w progi mężowskiego domu silną ręką ujęła berło władzy i odrazu wzięła małżonka, jak to mówią, pod pantofel. Były chwile, w których niewolnik podnosił głowę, aby ją potem jeszcze lepiej poddać. Rodziły się dzieci, a po każdych urodzinach pantofel przygniatał go dokładniej. Nareszcie zanikła u Tetery wszelka domowa oporność, zwłaszcza od czasu gdy stracił jedno oko...

Po drodze, utorowanej przez matkę, poszły córki — a trzy były — i człowiek z pod tylu pantofli nie mógł już głowy wychylić. Musiał zapłacić haracz i za miłość ojcowską, którą żywił dla tych dziewczyn; uczucie rozmiękczyło go na papkę. Bardzo kochał wszystkie trzy córki: Marynię, Terenię, Jadzię; ale głównie najstarszą, Marynię, przedmiot uwielbienia i chlubę całej rodziny.

Ta Marynia, z rysów najwięcej przypominająca ojca, przebywała czas jakiś w domu zamężnej ciotki, Calewiczowej, uczyła się tam grać na fortepianie, mówić po francusku i to ją uczyniło istotą wyższą. Kiedy po śmierci ciotki powróciła z Grodna do Malwicz, było jej ciasno, nudno, niedobrze w w domu rodzicielskim, a wszyscy członkowie rodziny jednozgodnie powtarzali: „Marynia się marnuje!“ Widząc, że całe otoczenie wpatruje się w nią z uwielbieniem i współczuciem, skorzystała z tego — wzięła wszystkich pod pantofel, zaczęła dom urządzać podług swoich własnych wyobrażeń. Występując ciągle w roli ofiary, umiała zrobić swemi ofiarami matkę, siostry, brata, a głównie ojca, który już bez tego był kozłem ofiarnym.

Pierworodna córka Tetery liczyła dwudziesty drugi rok życia, była gładka, lubiła się stroić, marzyła o tem, ażeby mieć fortepian, paliła papierosy, czytała książki i pielęgnowała swoje rączki.

Trzy lata upłynęły od czasu gdy Marynia powróciła z Grodna i przekształcała po swojemu dom rodzicielski, kiedy Tetera zrozumiał, że dla uczynienia zadosyć wymaganiom rodziny w żaden sposób nie wystarczą dochody z roli. Zkąd brać, to brać, a ukochane istoty muszą mieć wszystko, czego im potrzeba! Dobrze strzelał, lubił polowanie i na starość rzucił się do kłusownictwa. Sam słaby, szukał słabszych od siebie ażeby nimi nakarmić tych, których kochał — był w tem podobny do wilka i lisa.

(D. c. n.)

Czcionkami »Drukarni Polskiej« we Lwowie. (Pasaż Hausmana)